



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Bohdan Grzegorzewski

Harcerska Poczta Polowa

Jako dziecko okropnie nie lubiłem być rano budzonym przed godziną siódmą. A tego dnia z trudem udało się mojej matce obudzić mnie o godzinie szóstej rano. Cóż – pierwszy wrzeźnia, początek roku szkolnego o ósmej, a my jesteśmy jeszcze na wakacjach w Świdrze pod Warszawą. Właśnie zły i zaspany siedziałem przy śniadaniu, kiedy gdzieś daleko rozległ się jakiś dziwny i nie słyszany przeze mnie dotąd grzmot. Jednocześnie zaczął gwałtownie narastać ryk silnika jakiegoś bardzo nisko nadlatującego samolotu. W wieku 10 lat twierdziłem, że jak dorosnę zostanę lotnikiem, nic więc dziwnego, że senność prysła w jednej chwili. Zerwałem się od stołu, żeby zobaczyć ten samolot. Nie zdążyłem jeszcze dobiec do drzwi, kiedy nagle cały świat zaczął się walić. Tak przynajmniej wtedy to odczułem: podłoga pod nogami jakoś niesamowicie zafalowała, ściany wyraźnie się zakołysały, a zamknięte na klamkę drzwi gwałtownie otworzyły się – chciałoby się powiedzieć „z trzaskiem”, ale wszystkie dźwięki utonęły w ogłuszającym głosie eksplozji. Zaraz potem płaczący świergot lecących szyb. Jeszcze jakiś kawałek szkła rozprysnął się na betonowym tarasie, po czym nastąpiła przerażająca cisza. Za chwilę odezwał się narastający gwar ludzkich głosów. Dowiedziałem się, że tuż nad domem przeleciał jakiś olbrzymi – jak mówiono – samolot dwumotorowy ciągnący za sobą smugę czarnego dymu. Widać był uszkodzony i przed upadkiem pozbywał się bomb. Za lasem, przez który tego pięknego lata co dzień chodziliśmy nad rzekę Świder (właśnie wtedy nauczyłem się pływać), unosiła się chmura dymu. Tam musiał spaść. Dużo później, bo już po II wojnie światowej dowiedziałem się, że byliśmy mimowolnymi świadkami zestrzelenia jednego z pierwszych w tej wojnie samolotów. Na razie koniecznie chciałem tam biec (było to całkiem blisko), ale kategoryczne „NIE!” matki osadziło mnie na miejscu. Dopiero w Warszawie wujek, który tam pobiegł, opowiadał mi, że z całego samolotu pozostał cały tylko ogon i że 4-osobowa załoga zginęła. Duże wrażenie zrobiły na nim szczególnie jedne zwłoki, na których jeszcze dymił kombinezon. Lotnik miał na nogach wspaniałe buty, zupełnie nowe, o lekko tylko przybrudzonych podszewkach.

Ten fragment moich wojennych doświadczeń zapamiętałem dobrze między innymi dlatego, że 27 lat później z jednym z „moich” lotników spotkałem się w pewnym sensie osobiście. Będąc w małym niemieckim miasteczku Aue u stóp gór Harcu – już jako kustosz Muzeum Narodowego w Warszawie – badałem tamtejszy cmentarny kościół romański z XII wieku. Zupełnie przypadkowo zauważyłem niedaleko zabytku wspaniałą marmurową grobowiec rodzinny, ozdobiony przy nazwisku Rolf Backer hitlerowskim lotniczym orzełkiem i napisem „Er gab sein leber fur uns” (oddał życie za nas). Przypomniałem sobie wtedy scenę z roku 1940, kiedy przyjechaliśmy na wakacje do Świdra. Pierwsze kroki skierowałem oczywiście na miejsce kraksy „mojego” samolotu. Tego „wielkiego” ogona już tam nie

znalazłem, była tylko bezkształtna bryła metalu i częściowo porozkręcany silnik. Obok były cztery świeżo rozkopane mogiły. Od okolicznych mieszkańców dowiedziałem się, że właśnie wczoraj przyjechała ciężarówka z niemieckimi żołnierzami, którzy ekshumowali pochowanych tu lotników. Przy jednym z grobów wałała się jeszcze połamana tabliczka w kształcie tarczy, a na niej było napisane to właśnie imię i nazwisko. Sprawdziłem na grobowcu i wszystko pasowało: „In Polen gefallen 1939” (Poległ w Polsce 1939). Z napisu wynikało, że miał 21 lat. Może to właśnie ten w nowych butach, z opowiadania wujka Janka? Duże wrażenie zrobiła na mnie również emaliowana tabliczka, otoczona wieńcem sztucznych kwiatów, mocno już „zębem czasu” nadżartych i napisem „Od Eriki, która nigdy nie zapomni”. Wtedy zresztą pierwszy raz w życiu poczułem do Niemców coś w rodzaju współczucia.

Potem było oblężenie Warszawy (otwarcie roku szkolnego oczywiście już się wtedy nie odbyło) i mój dziecinny świat rzeczywiście się zawałił. Z opowiadań ojca, byłego ułana 14 pułku „Jazłowieckiego”, wojna przedstawiała mi się jako coś w rodzaju podniecającej przygody. Jako dziecko nieraz staczałem „boje”. Teraz jednak zobaczyłem prawdziwe oblicze wojny. Odczuwałem paraliżujący strach, kiedy dalekie mruczenie silników nadlatującej eskadry przechodziło w wycie pikującego Ju 87. Zaraz potem pojawiał się znany mi już efekt „falowania” piwnicznej podłogi (szyby już dawno przestały lecieć), łomot wybuchu i najgorszy ze wszystkiego gruchot walących się murów. Do dziś, po tych dziecinnych jeszcze doświadczeniach, ogarnia mnie uczucie rozbawienia przy oglądaniu wojennych filmów, zwłaszcza radzieckich i amerykańskich. Te geroje z kamiennymi wyrazami twarzy, wychodzący, oczywiście bez jednego zadrapania, z rozwalonych bombami bunkrów! Sam wiem ile wysiłku wymaga w takiej sytuacji opanowanie normalnego, ludzkiego odruchu wywołanego przez instynkt samozachowawczy. Wtedy w oblężonej Warszawie, w wieku 10 lat, nawet nie wyobrażałem sobie, jak to w ogóle można opanować. Dopiero późniejsze przeżycia okupacyjne, a zwłaszcza aroganckie i upokarzające zachowanie mundurowych i cywilnych przedstawicieli „Herrenvolku” (Narodu Panów) w stosunku do „podludzi” – Polaków, nauczyło mnie, że nienawiść i poczucie własnej patriotycznej godności pozwala przezwyciężyć wrodzone odruchy. Dużą rolę odegrało tu w moim wypadku wychowanie wyniesione z domu i ze szkoły. Ojciec zawsze z dumą opowiadał o swoim dziadku, który jako 19-latek walczył w Powstaniu Styczniowym.

W szkole (Zamoyskiego, na ul. Smolnej) od I klasy wpajano nam rozumny patriotyzm. W klasie miałem jednego kolegę muzułmanina i kilku starozakonných. Nauczyciele zawsze zwalczali wszelkie odruchy antysemityzmu. W Świdrze było bardzo wielu Żydów, z którymi nieraz się bawiłem i nawet próbowałem gadać w Jidysz (nie bardzo mi to wychodziło).

W pierwszych latach okupacji chodziłem do szkoły powszechnej. Okupanci tylko takie wykształcenie dopuszczali dla Polaków. Kiedy gmach Zamoyskiego zajęło wojsko, szkoła przeniosła się na ul. Prosta, gdzie realizowano normalny program gimnazjum, tyle że przy wejściu była tablica: „Zawodowa Szkoła Rybołówstwa Śródlądowego”, a na korytarzu wisiały fotografie ryb i rysunki sprzętu połowowego. Mój pierwszy kontakt z konspiracją nastąpił zupełnie przypadkowo, późną jesienią 1941 roku. Matka moja prowadziła na ul. Brackiej sklep radiowy. Po wkroczeniu do Warszawy Niemcy zabronili Polakom posiadania radioodbiorników, a cały towar ze wszystkich ocalałych po oblężeniu sklepów radiowych zarekwirowali. U Mamy w czasie oblężenia zabezpieczono sprzęt w magazynie znajdującym w piwnicy. Na drzwiach do tego pomieszczenia założono niemieckie plomby. Mama od początku istnienia sklepu komisowego czyniła starania o ich usunięcie, tym bardziej, że cały towar komisje niemieckie już dawno zabrały. Wreszcie w 1941 roku zezwolenie otrzymała. Pomagałem jej później przy porządkowaniu magazynu. Kiedy ruszyłem oparty o ścianę stos starych kartonowych opakowań, moim oczom ukazały się zabite dwoma zagiętymi i zardzewiałymi gwoździami piwniczne drzwi. W magazynie byłem wówczas sam i przez ciekawość spróbowałem te gwoździe przekręcić. Poszło zdumiewająco łatwo. Za drzwiami zobaczyłem kilka dużych paczek. Po rozerwaniu papieru na jednej z nich ujrzałem niewielkie lampy radiowe. W innej paczce znalazłem radioaparat. Natychmiast pobiegłem na górę. W sklepie na szczęście była tylko ekspedientka, pani Hania, więc otwartym tekstem krzyknąłem: „Pani Haniu! Znalazłem radio!!!”. Ta wymownym gestem położyła palec na ustach, po czym wywiesiła na wystawie kartkę: „Zaraz wracam”. Zamknęła wejście i zeszła ze mną do magazynu. Zabroniła mi cokolwiek dotykać, zakręciła gwoździe i nakazała nie ruszać się z magazynu dopóki ona nie przyjdzie. Po jakimś czasie zjawili się dwóch młodych ludzi, którzy obejrzelili moje znalezisko. Jeden z nich położył mi ręce na ramionach i patrząc w oczy powiedział: „Nikommu, nawet Mamie – ani słowa”. Podziękował mi „w imieniu służby” i kazał zaraz wyjść i do jutra już tu nie wracać.

Następny, już bardziej trwały kontakt z konspiracją nastąpił w roku 1942. Ciotka moja, Henryka Daczyńska, w willi „Jazłowianka” w Świdrze (tej, w której dla mnie zaczęła się II wojna światowa) założyła oficjalnie „pensjonat”. W rzeczywistości jej syn Andrzej Daczyński, będący podchorążym IV Obwodu Armii Krajowej, w porozumieniu z Żydowską Organizacją Bojową (ŻOB) zorganizował tam „przechowalnię” dla Żydów. Oczywiście wszyscy oni mieli „lewe” dokumenty na czysto polskie nazwiska. Ponieważ wyrzucono nas wówczas z mieszkania na ul. Książęcej (stworzono tam tzw. „dzielnicę niemiecką”), zamieszkałem z ciotką Henryką. Jednym z pensjonariuszy był siedemnastoletni Żyd,

pseudonim „Bubi”, który z wszystkich dostępnych w Warszawie gazet niemieckich robił wyciągi na temat strat niemieckich i alianckich w wojnie na morzach. Ja, jako że dojeżdżałem do Warszawy do szkoły „Rybackiej”, otrzymałem zadanie zakupu tych gazet. W szkole, uczyłem się niemieckiego i umiałem go na tyle, żeby zrozumieć tytuły. Razem z „Bubim”, który znał niemiecki perfektem wieczorami robiliśmy te zestawienia. Potem Andrzej je od nas zabierał i do dziś nie mam pojęcia kto i do jakiego celu je wykorzystywał.

„Pensjonat” ciotki Henryki funkcjonował do jesieni 1943 roku. W październiku zjawiała się tam jakaś młoda pani z wieścią, że nastąpiła „wsypa” i natychmiast wszyscy pensjonariusze zostali przez nią gdzieś zabrani. Dosłownie w pół godziny potem zajęły „budy” niemieckiej żandarmerii, dom został otoczony i kilku cywili w wrzaskiem ustawiło nas na werandzie „Nase an die Wand” (nosem do ściany). Gruntownie wszystko przeszukali. Moją osobą zupełnie się nie interesowali, byleby stał „Nase an die Wand”, ale wszystkich dorosłych (Andrzeja na szczęście nie było) osobno przesłuchiwali. Potem ciotka Henryka mówiła, że doskonale znali „lewe” nazwiska wielu pensjonariuszy. Ale nic nie osiągnąwszy, odjechali. „Pensjonat” został zlikwidowany, wobec czego wróciłem do Warszawy, do jednego odnajętego pokoju na ulicy ks. Skorupki (obecnie ul. Sadowa).

Na moje usilne nalegania Andrzej skontaktował mnie z istniejącą już czas jakiś na terenie Ochoty (IV Obwód AK) drużyną najmłodszych harcerzy „Zawisza”. Zacząłem uczęszczać na zbiórki w lokalu kontaktowym na ul. Słupeckiej 6 i wreszcie w maju 1944 roku bardzo uroczyście, z zachowaniem wszelkich zasad konspiracji, złożyłem przyrzeczenie harcerskie. Po tej ceremonii druh „Żubrawa”, nasz drużynowy, powiedział nam, że w razie realizacji planu „Burza” będziemy wykorzystani do pełnienia służby pomocniczej. Odbyliśmy kilka ćwiczeń terenowych (m. in. w willi „Jazłowiec” na wydmach pod Świdrem). Ja jako mieszkający w Śródmieściu byłem w naszym „planie alarmowym” przewidziany do zawiadomienia jako ostatni. Czy 1 sierpnia 1944 roku „plan alarmowy” został choć w części zrealizowany – nie dowiedziałem się nigdy. Kiedy rozległy się pierwsze strzały powstania i na naszym podwórku pojawili się powstańcy, nikt z „naszych” się nie pokazał. Usiłowałem sam dostać się na Ochotę, ale z trudem dotarłem tylko do Placu Zbawiciela. Tam prawie całą noc brałem udział w budowie barykad. Kiedy dowiedziałem się, że na ul. Hożej powstał punkt werbunkowy, natychmiast się tam zgłosiłem. Powiedziano mi, że harcerze zbierają się na ulicy Wilczej. Akurat ze mną był tam jakiś chłopak w moim wieku, z którym razem poszliśmy we wskazane miejsce. Boczne ulice poprzedzielano barykadami, ale na Marszałkowskiej jeszcze ich nie było. Jako „stary harcerz” objąłem komendę nad swoim towarzyszem. Do dziś pamiętam, jak musiałem „sam siebie ciągnąć za kołnierz”, żeby przeskoczyć tę tak straszliwie pustą i tak przeraźliwie szeroką Marszałkowską! Wtedy to po raz pierwszy, ale nie ostatni, powiedziałem do siebie wycytane u Sienkiewicza („W pustyni i w puszczy”) zdanie: „Kali się bać, ale Kali pójść!” No i razem, jak na komendę, ruszyliśmy biegiem i w głęboko schylonej postawie. Akurat przebiegaliśmy przez środek jezdni, kiedy tuż nad głową usłyszałem coś, co zabrzmiało jak mieszanina świstu i miauknięcia rozszuszczonego kota. Strzelec wyborowy z wieży kościoła św. Zbawiciela minimalnie chybił. Tuż przed powstaniem wpadła mi w rękę książka Brykczyńskiego „Moje wspomnienia”. Autor jako nastolatek uczestniczył w Powstaniu Styczniowym. I tam po opisie pierwszej potyczki, powołując się na starych, jeszcze napoleońskich wiarusów napisał, że „prawdziwy wojak do śmierci zapamięta: pierwszą miłość i świst pierwszej kuli”. Żadnego epizodu z Powstania Warszawskiego, które dla mnie skończyło się dopiero 3 października, nie zapamiętałem tak dokładnie jak ten właśnie moment na środku Marszałkowskiej. Tak się złożyło, że pierwszą miłość przeżyłem również w czasie Powstania Warszawskiego. Starzy napoleońscy wiarusi mieli rację! W każdym razie na Wilczej trafiliśmy akurat na organizację „Oddziału Śródmieście – Południe Harcerskiej Poczty Polowej Armii Krajowej”. Ja pozostałem przy starym pseudonimie „Hermes”, a mój towarzysz przyjął pseudonim „Księżyc”. Obaj zresztą po tym „chrzcie ogniowym” stwierdziliśmy zgodnie, że „Niemcy źle strzelają”. Niestety już wkrótce musiałem zmienić zdanie. Już jako żołnierze „drugiego patrolu I Drużyny im. Tadeusza Kościuszki” zostaliśmy około połowy sierpnia wysłani (wraz z całą drużyną) na ul. Żelazną. W drodze powrotnej (taszczyliśmy jęczmień browarniany, z którego gotowało się zupę), jeszcze na Żelaznej, przeskakując przez wzgórek starych ruin „Księżyc” dostał precyzyjnie wymierzoną serię z CKM i zginął na miejscu. Ja też pewnego razu o mało nie zginąłem. Przypadkowy ruch głowy uratował mi życie, ale pocisk fosforowy przeszedł tuż koło lewego ucha. Już nigdy nie będę na to ucho słyszał.

Po śmierci „Księżyc” do mojego patrolu doszłusował jeszcze jeden chłopak z Powiśla. Ja od 1932 do 1942 roku mieszkalem na rogu Książęcej i Rozbrat, „Wafelek” w tym samym czasie trochę dalej. Obydwaj jako dobrze znający teren przekradaliśmy się z przesyłkami przez „ziemię niczyją”, aż na parzystą stronę ulicy Rozbrat, akurat naprzeciwko domu, gdzie do urzędzenia „dzielnicy niemieckiej” w 1942 roku mieszkał „Wafelek”. Jako „Służba Specjalna” AK mieliśmy przepustki uprawniające do przekraczania pierwszej linii frontu. Ta linia była w naszym przypadku na początku ul. Książęcej w zabudowaniach warsztatu samochodowego u stóp skarpy, na której stoi do dziś zachowany zabytkowy neogotycki budynek Kurii Biskupiej. Dalej wzdłuż nieparzystej strony ul. Książęcej mieliśmy znakomitą „zasłonę dymną” w postaci płonących kamienic (dziś rosną tam drzewa). Dym zasłaniał nas

aż do miejsca, gdzie obecnie biegnie estakada spacerowa nad ul. Książęcą. Już na czworakach, powtarzając sobie w duchu „Kali się bać, ale Kali pójść” – przekradaliśmy się pod skarpy zwieńczoną obsadzonym przez Niemców pałacem Branickich (obecnie Muzeum Ziemi). Dalej osłaniał nas gąszcz zarośli Ogrodu Frascati (za PRL „przechrzczony” na Park Kultury i Wypoczynku). Z dziwnymi uczuciami omijałem z daleka nasz dawny, obecnie wyglądający na całkowicie opuszczony dom przy Książęcej 1. Podobno docierały tam niemieckie patrole, ale woleliśmy tego nie sprawdzać. Po parzystej stronie ul. Rozbrat, w budynku przedwojennej Szkoły Dziennikarskiej, byli już nasi. Tam przekazywaliśmy przesyłki i odbieraliśmy pocztę z Czerniakowa, a nawet z Wilanowa (do dziś nie wiem jakimi drogami)! Po krótkim odpoczynku – „Kali się bać, ale Kali pójść” z powrotem. Parę razy chodziliśmy tą samą trasą i nigdy nikt do nas nie strzelił. Na ścieżkach parkowych, mimo indiańskiego „tropienia”, nie widzieliśmy nawet śladów po butach tych domniemanych niemieckich patroli. Raz tylko jakiś niemiecki moździerzysta z gmachu BGK (stoi do dziś na rogu Al. Jerozolimskich i Nowego Świata) dał za długi celownik i zamiast na Plac Trzech Krzyży włądował całe ześrodkowanie (chyba ze 6 pocisków) między naszą „zasłoną dymną” dopalających się kamienic przy Książęcej i pałacu Branickich. Kiedy tuż koło nas zaczęły się rwać moździerzowe granaty w panice, pełnym galopem wyrwaliśmy w kierunku placówki. Ponieważ rzecz działa się w nocy, słysząc nasz tętent i zapewne zaalarmowana niespodziewanymi eksplozjami czujna załoga Pałacu Branickich walnęła serię oświetlających rakiet. Nas ukrytych już w dymie nie mogli zobaczyć, ale na wszelki wypadek dyżurny CKM gruchnął wzdłuż Książęcej długą serię i ze skarpy poleciało parę ręcznych granatów. Załoga Muzeum Narodowego również otworzyła ogień i kiedyśmy nieludzko zdyszani dopadli do „naszego” warsztatu samochodowego trwała już strzelanina jak w czasie nalotu na Berlin. My po otrzeźwieniu oczywiście zgrywaliśmy gierojów, jakby nas odznaczono co najmniej Krzyżami Walecznych, żeśmy Niemcom „takiego kota popędzili”.

Te przeprawy na Czerniaków wkrótce po „przesławnym laniu” musiały się skończyć, bo nastąpiło generalne natarcie niemieckie, które wobec całkowitej bierności Armii Radzieckiej zakończyło się likwidacją Przyczółka Czerniakowskiego. Jak wyglądała lojalność Armii Radzieckiej w stosunku do bądź co bądź sojuszników, w ostatnich dniach Powstania Warszawskiego mogłem się „namacalnie” przekonać. W tym czasie artyleria radziecka była już doskonale „wstrzelana” w niemieckie stanowiska. Ale jakoś tak dziwnie się zdarzało, że co jakiś czas kilka pocisków rozrywało się na terenie naszego „stanu posiadania”. Gdzieś pod koniec września, kiedy przebiegałem przez ul. Koszykową (dobre 300 metrów od naszej pierwszej linii) poczułem silne, ale miękkie pchnięcie w plecy i zdawało mi się, że lecę nogami na jakiś mur. Poczulem silne uderzenia w klatkę piersiową i „film mi się urwał”. Ocuł mnie tak przenikliwy ból kręgosłupa, że aż przeraźliwie wrzasnąłem. Jednocześnie zobaczyłem jakąś twarz i usłyszałem głos: „E – chyba jeszcze żyje”. Żyłem i nawet o własnych siłach się pozbierałem, tylko przez dłuższy czas ból w krzyżu utrudniał mi pełne wyprostowanie się. Parę lat po wojnie, po prześwietleniu, okazało się, że mam trwale uszkodzenie kręgów lędźwiowych i obecnie jestem już „oficjalnie” inwalidą wojennym. No cóż, dla kierowniczych kół politycznych Armii Czerwonej, Armia Krajowa to byli tacy sami faszyci jak hitlerowcy! Ślad tego „mojego pocisku” aż do lat sześćdziesiątych był doskonale widoczny na fasadzie gmachu Biblioteki Publicznej na Koszykowej. Granat musiał przylecieć zza Wisły! Poza tym był to na pewno granat trzyczalowy, a Niemcy nie używali dział tego kalibru!

Później była dramatyczna kapitulacja i do 2 października likwidowaliśmy wszelkie ślady po „Harcerskiej Poczcie Polowej Armii Krajowej”. Następnie marsz do Pruszkowa (ja już „normalnie” chodziłem, tylko miałem trudności z podnoszeniem nogi do góry). W Pruszkowie z jednym kolegą postanowiliśmy nie iść do niewoli. Wykorzystaliśmy nieuwagę wartowników (pilnowali nas rosyjscy kolaboranci z tzw. „Armii Własowa” – notorycznie pijani), przeleźliśmy pod drutami i przedostaliśmy się do tej części obozu, gdzie była ewakuowana ludność cywilna z Warszawy. Tam spotkałem się z Matką i z siostrą. W Piotrkowie Trybunalskim przeszliśmy w styczniu 1945 roku pod panowanie Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Ostatni dramat związany z powstaniem przeżyłem prawie dokładnie w rok po „Godzinie W”. Na początku sierpnia 1945 roku, po długich zabiegach ciotki Henryki, otrzymaliśmy pewną wiadomość o śmierci mojego brata ciotecznego Andrzeja Daczyńskiego. Zgodnie z planami dowództwa IV Obwodu AK należało po wybuchu Powstania Warszawskiego nawiązać łączność z partyzantami operującymi w Lasach Kabackich. Andrzej był w składzie oddziału, który miał tego dokonać. W nocy z 2 na 3 sierpnia, już niemal u celu, w czasie potyczki z niemieckim patrolem został ciężko ranny. Przeniesiono go na plebanię w Piasecznie. Następnego dnia, kiedy ja na środku Marszałkowskiej usłyszałem swoją „pierwszą kulę”, zmarł nie odzyskawszy przytomności. Z całej rodziny z Nim byłem najbardziej zżyty, no i z całej licznej rodziny był On jedynym naprawdę utalentowanym. W czasie okupacji (niezależnie od Podchorążówki – słynnej Agricoli) studiował konspiracyjnie na ASP w Warszawie i wszyscy profesorowie wróżyli mu – jako rzeźbiarzowi, wielką karierę artystyczną. Poległ w wieku 21 lat i niestety większość jego najlepszych dzieł przepadła.

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o pewnym wyjątkowym aspekcie Powstania Warszawskiego, pomijanym przez większość opracowań tego tematu. Nigdzie poza stolicą w Akcji „Burza” nie funkcjonowały zmilitaryzowane służby komunalne. Jedno z pierwszych miejsc zajmuje tu Harcerska Poczta

Polowa AK. Listy zawsze dochodziły do adresata, o ile jeszcze żył. A jakie radosne zdumienie towarzyszyło każdej takiej doręczonej przesyłce! Ale działalność ta pociągała też za sobą ofiary. W mojej drużynie straty przekraczały 45% pierwotnego stanu. Z 11 żołnierzy poległo czterech, a chyba żaden z nas nie wyszedł bez poważniejszych ran czy kontuzji.